

# KOBIETY NOWEJ HUTY

CEGLY,  
PERŁY  
I PETARDY

KATARZYNA  
KOBYLARCZYK

# Miasto kobiet

Najpierw koleżanka powiedziała:

– Mieszkam w Nowej Hucie i otaczają mnie same kobiety.

Potem podsłuchałam rozmowę w tramwaju (często podsłuchuję rozmowy w tramwajach).

– ...i nikt nie robi pani zakupów? – Dziwił się facet w średnim wieku.

– Syn, wnuki, wszystko siedzi w Irlandii – odpowiedziała stara kobieta. – Ja, proszę pana, mam 85 lat, ale nogi zdrowe. Jeszcze opiekuję się sąsiadką, ona ma 90, z domu już nie wyjdzie.

Wtedy zrozumiałam, że Nowa Huta, która zaczynała jako miasto młodych mężczyzn, na starość stała się miastem kobiet. Zrozumiałam też, że to one są jej pamięcią. Pamiętają łany zbóż na miejscu bloków, kurz, pył i błoto wielkiej budowy, obietnice rajy i siermiężną rzeczywistość, całowanie ścian nowego mieszkania i kolejki po mięso, zamach na pomnik Lenina, ciężką pracę i miłość, huk petard i zapach gazów łzawiących...

Pomyślałam, że to niesprawiedliwe: przez lata symbolem Nowej Huty był murarz Piotr Ożański (pierwowzór Mateusza

Birkuta, bohatera *Człowieka z marmuru*). Albo hutnik w żarodopornym ubraniu. Jeśli już architekt, to mężczyzna, jeśli opozycjonista z hutniczej „Solidarności”, to brodacz w kraciatej koszuli, z palcami rozłożonymi w geście *victorii*. Chciałam, żeby tym razem to one przemówiły: pierwsze murarki, spawaczki, architektki, lekarki, sportsmenki, aktorki, rzeźbiarki, kucharki, suwnicowe, córki i wnuczki chłopów wywłaszczonych pod budowę socjalistycznego miasta, opozycjonistki, działaczki nowohuckiej „Solidarności”, kobiety, które obroniły nowohucki krzyż. Chciałam oddać im głos.

Odnalazłam notes z numerami telefonów z czasów, kiedy pracowałam w Nowej Hucie jako reporterka, i zaczęłam dzwonić. Okazało się, że wzięłam się do pracy zbyt późno. Większość starych numerów telefonicznych milczała.

Do niektórych kobiet, których losy chciałam opisać, nie udało mi się dotrzeć. Niewiele było o nich w archiwach. Nie odnalazłam Zofii Włodek, pierwszej murarki Nowej Huty, założycielki kobiecej brygady murarskiej, chociaż myślę, że wiem, co mogło się z nią stać.

Do innych kobiet dotarłam zbyt późno. Gdy udawało mi się je odnaleźć, słyszałam: Nie. Już nie. Za późno. Już nie chcę. Z początku byłam rozczarowana. Potem zrozumiałam.

Najuczciwiej jak umiałam, spisałam losy kobiet, które zbudowały, wykarmiły i wychowały Nową Hutę, a potem wywalczyły jej wolność. Wciąż tu mieszkają. To moje sąsiadki, NOWOHUCIANKI.

*Katarzyna Kobylarczyk*

Kobięca brygada murarska w Nowej Hucie, lata 50.





Widok na Kopiec Wandy, lata 50. Ciasny kadr pokazuje Nową Hutę jako coś, co powstało w miejsce niczego

# Zanim

Babcia Wiktoria zawsze była w drodze.

Ta ziemia w Bieńczycach, pola, ogród, sad, które odbierano jej piędź po piędzi, należała właśnie do niej, nie do dziadka. Babcia jeszcze długo chodziła z siatką pod stary orzech, zbierała owoce, przynosiła do mieszkania. W zamian za ziemię władza dała babci Wiktorii klitkę w bloku. Chyba nigdy nie czuła się tam u siebie. Wnuczka Małgorzata zapamiętała ją w butach. Kiedy przychodziły z siostrami w odwiedzin, babcia leżała w łóżku, w chustce na głowie, w trzech swetrach zapinanych na guziki i w butach. Właśnie w butach – w łóżku. Jakby za chwilę miała wstać i pójść sobie z tego miejsca, które nigdy nie było jej. Zawsze gotowa do drogi.

Na końcu władza odebrała jej dom. Kazała zrównać go z ziemią, wyburzyć. Babcia zburzyła dom, ale wywiozła z Nowej Huty wszystkie cegły. Zabrała je do Sulechowa, kazała wymurować z nich nowe ściany. Kiedy poczuła, że umiera, pojechała tam. Położyła się do łóżka, zapaliła gromnicę, nie pozwoliła wzywać do siebie pogotowia. I umarła – w nowym domu ze starych cegieł. Małgorzata zapamiętała ją w otwartej

trumnie: w chustce, w trzech swetrach i w tych butach. Jakby całe życie była w drodze i w końcu – poszła.

## Czy pola były szczerze?

Z góry wygląda jak rozłożony wachlarz. Pozioma kreska głównej drogi biegnie niemal dokładnie z zachodu na wschód, wzdłuż skarpy Wisły, śladem dawnego traktu sandomierskiego. Środek wyznacza regularna plama placu Centralnego, szerokie ulice odchodzą od niego promieniście na północ, północny wschód i północny zachód. Długie pierzeje bloków chronią wnętrza osiedli. Podobno architekt Tadeusz Ptaszycki, generalny projektant miasta, pierwsze plany Nowej Huty szkicował na serwetkach, grubą kreską: proste linie, ład, spokój, klasyczna symetria. Praktycznie jedyne poza Gdynią współczesne miasto w Polsce wymyślone i zbudowane od podstaw. Perła planu sześćdziesięcioletniego. Pierwsze socjalistyczne miasto w kraju. Miasto idealne. Miasto jasne, bez suterren. Miasto na surowym korzeniu, stworzone, nie zrodzone, zaprojektowane dla robotników kombinatu metalurgicznego z niczego, od początku. „Tak wyglądał w 1949 r. ogromny, płaski teren wybrany pod budowę Huty im. Lenina”, głosi podpis pod zdjęciem, które umieszczono w popularnonaukowej książce o kombinacie<sup>1</sup>. Zdjęcie jest czarno-białe, ale wystarczyłoby, gdyby było błękitno-zielone, a może błękitno-żółte. Linia horyzontu dzieli kadr niczym od linijki: górą jest niebieska płachta bezchmurnego nieba, dołem płaszczyzna pól przeciętych pylną, piaszczystą drogą. Po bokach kadr zamykają dwa drzewa. Między nimi pustka. Nic.

To zdjęcie to kłamstwo. Teren wybrany pod budowę Nowej Huty wcale tak nie wyglądał.

---

– Mój dom – mówiła wiele lat temu Marianna Zajac – mój dom stał tam, gdzie te wysokie bloki przy rondzie, wie pani które? Obok biegła droga: z nawierzchnią z tłucznią, z rowami wyłożonymi czerwoną cegłą. I była tam karczma, a pani, która ją prowadziła, nazywała się Marysia. Marysia, może to sobie pani zapisać.

Siedziałyśmy przy stole w mieszkaniu Marianny na osiedlu Hutniczym i rozmawiałyśmy o świecie, który zniknął. Wcale nie po to się spotkałyśmy. Miałyśmy rozmawiać o bagażu – o tym, co ludzie, którzy zjeżdżali do Nowej Huty, przywieźli ze sobą (a przywozili święte obrazy, kryształowe salaterki na chrzan, pierzyny i jaśki, komunijne sukienki, szewskie piramidki do ścinania nadmiaru skóry z zelówek, patelnie, które starzy Cyganie powlekali czymś, co lśniło jak srebro, i inne rzeczy niezbędne, gdy zaczyna się zupełnie nowe życie w zupełnie nowym miejscu).

– Oj, to nie nadam się pani – martwiła się Marianna Zajac. – Bo ja tu, owszem, przyjechałam. Ale zanim przyjechałam, to najpierw stąd wyjechałam...

Ojciec Marianny Zajac był kowalem we wsi Czyżyny. Podkuwał konie, robił brony, naprawiał bryczki. To, co zarobił, inwestował w ziemię. Dorobił się 14 hektarów, miał dwie krowy, konia, zatrudniał służącą i parobka. Mamusia Marianny z początku wcale nie chciała za niego iść. Miała dopiero 16 lat, on był 10 lat od niej starszy; kiedy przyszedł w swaty, uciekła na piec chlebowy. Ślub mieli przepiękny. Mamusia wspominała go do końca swoich dni: poszła do niego po krakowsku, w wieńcu, z drużbami na koniach. Zamieszkali w domu, który stał dokładnie tam, gdzie dziś najwyższe, dziewięciopiętrowe



bloki przy rondzie, które nazwano Czyżyńskim. Mieli sześcioro dzieci. Marianna była najmłodsza. Miała dwa lata, kiedy tatuś skaleczył się w dłoń i umarł.

Po jego śmierci mamusia podzieliła pola między starsze dzieci, tylko Marianna nie dostała nic. Nie należało jej się, była za mała, nigdy nie pracowała w polu.

Po śmierci taty zbiednieli.

Marianna pamiętała, jak pasąła wujkowe krowy na błoniach.

– Błonia były o tam, niżej. – Wskazywała ręką, wymazując z rzeczywistości bloki, tory tramwajowe, chodniki oraz trawniki i umieszczając na ich miejscu pastwiska oraz łąny zbóż tak wielkie, że aż szumiały, górali, którzy latem schodzili z pogórze wynajmować się do żniw, i cmentarz chorych na czerwonkę. Machała dłonią i z mapy zniknął kanciasty wielobok placu Centralnego, a pojawiały się Ośne Doły, gdzie woda spływająca wiosną z łąk rozmywała drogę. A w Czyżynach pojawiała się też Marianna pasąca krowy, żeby zarobić na łyżwy. Dzieciaki jeździły zimą na zamrzniętych dworskich stawach.

– Po śmierci tatusia mamusia nie miała już pieniędzy, żeby mi dać. Musiałam sobie zarobić. A jak już zarobiłam, to dostałam raz takie lanie przez te łyżwy! – Śmiała się. Zawsze była strasznie prędką do wszystkiego, żywe srebro, nie usiedziała. A siostra urodziła akurat bliźniaki, kazali jej tych dzieci pilnować, lecz zamiast z nimi siedzieć, poleciała na łyżwy. – Albo jak bracia zrobili mi sanki! Tam była taka górka, zaraz za naszym domem. Bracia zbili mi saneczki z desek, ale zanim żeśmy dojechali na górkę, całkiem się rozleciały.

W Czyżynach było lotnisko i władze, te przedwojenne, zabrały mamusi Marianny kawałek pola pod rozbudowę. Dostała za to odszkodowanie. Przyzwoite. Kupiła synom dorożki, jeździli nimi do Krakowa.

A Marianna poszła do szkoły: najmniejsza, najchudsza. Miała tylko pięć lat, ale mamusia uważała, że wszystko już umie. Akurat w Czyżynach otwierała się nowa szkoła, z parkietami na podłogach. Mamusia zdecydowała, że Marianna pójdzie do niej od razu po otwarciu, w 1930 roku. Obok szkoły stał Dom Ludowy i Marianna pamiętała, jak chodziła na tańce, zabawy, kursy gotowania, przedstawienia, jasełka, występy... Umarł Piłsudski, całą szkołę pojechali na Wawel, do krypt. Witali Rydza-Śmigłego na Błoniach, wszystkie dziewczynki stały w krakowskich strojach. Potem sadziła kwiaty przed domem i te kwiaty – goździki, dalie, gerbery – cięła i na nogach nosiła na Rynek, na sprzedaż, siedem kilometrów drogą utwardzaną tłuczniem.

Potem przyszła wojna. Niemcy zbombardowali lotnisko, oberwały najbliższe położone chaty.

Zbiednieli jeszcze bardziej.

Mamusia mełła teraz zboże na żarnach, zagniała z gotowanymi ziemniakami, piekła z tego chleb. Wychodził jak glina: ciężki, zbity, kleisty, zęby w nim można było zostawić. Dobrze, jeśli był. Jeśli wszyscy byli przy stole. Raz mamusi nie udało się uzbierać żywności na kontyngent. Przyjechali, zabrali wszystko, co było w piwnicy, do ostatniego ziemniaka. Mamę wzięli do więzienia, wyszła tylko dlatego, że poszedł za nią siedzieć brat.

Chłopca Marianna poznała już po wojnie. Nie był z Czyżyn, tylko z Bieżanowa, i kiedy przyjeżdżał na zabawy, musiał mieć się na baczności, żeby nie oberwać od miejscowych. Zawrótcił Mariannie w głowie. Może to dlatego nie zauważyła, jak drogą tuż przy jej domu – z nawierzchnią z tłucznia, z rowami wyłożonymi cegłą – zbliża się koniec świata.

– Bo to był, proszę pani, taki trochę koniec świata. Lament. Jeden wielki szloch. Ludzie płakali i przeklinali<sup>2</sup>.

## Widok z kopca

Do celu mają tylko 14 kilometrów, ale to trudna droga. Wyboista. Biegnie z Krakowa na wschód, na Sandomierz. Najpierw trzeba objechać wielki fort Pszorna, część starych austriackich fortyfikacji Twierdzy Kraków. Potem wytluc się po tłuczniu: minąć lotnisko w Czyżynach, wieś, karczmę, zakłady tytoniowe i skierować się dalej: ku Mogile, na Pleszów. Kiedy wreszcie wysiadają z terenowych samochodów, które biuro oddało im do dyspozycji, muszą czuć każdą kość w swoim ciele. Jest pierwszy lub drugi dzień lutego 1949 roku. Mroźno. Niebo lekko zachmurzone, ziemia zamarznięta, na polach leży śnieg. Na szczęście za dnia słabnie lodowaty arktyczny wiatr; poczują go dopiero na szczycie.

To niewysoka wspinaczka. Ledwie 14 metrów.

Czy znają tę historię? Czy po drodze ktoś z nudów opowiedział im legendę o księżniczce Wandzie, córce księcia Kraka, co nie chciała Niemca i rzuciła się w fale Wisły, a te aż tu doniosły jej ciało? Czy poważnym inżynierom, ekspertom bratniego narodu, materialistom-komunistom, specjalistom od żelaza i stali wolno w ogóle opowiadać bajki o księżniczkach? Czy ktoś się ośmielił?

Zresztą i tak nie wiadomo, czy ona w ogóle tam jest. Kraków ma dwa pradawne kopce ziemne, nie wiadomo, kto je usypał, kiedy ani po co. Legenda mówi, że to kurhany Kraka, założyciela Krakowa, i jego córki Wandy. Kopiec Kraka rozkopano w latach 30. Marian Dąbrowski, magnat prasowy, właściciel i redaktor „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” i 100 innych gazet, dał na to 50 tysięcy złotych. Przez trzy lata szukano księżących szczątków, ryjąc w ziemi coraz głębiej, wykopem w kształcie leja sięgając niemal podstawy pagóra. Żadnego szkieletu nie

znaleziono. Wandy nawet nie szukano. Czy pierwsza porażka zniechęciła poszukiwaczy? Skończyły się pieniądze? A może Wanda po prostu wydała im się mniej ważna? Nieważna? Jej kopiec leżący nieopodal wsi Mogiła nigdy nie został otwarty. Dlatego kiedy w lutym 1949 roku grupa mężczyzn w płaszczach wspina się na sztuczny pagór, nie wiadomo, czy ona, jej ciało, jej prochy, naprawdę gdzieś tam są – pod metrami sześciennymi, pod tonami ziemi. Czy to naprawdę jej mogiła?

Inżynierów, którzy przyjechali pod kopiec, także nie interesują te kwestie. Ważne jest wzniesienie i „rozległy widok na płaszczyznę pól pleszowskich ku Wiśle i ku wzgórzom krzesławickim”<sup>3</sup>. Kilkanaście osób wspina się na szczyt kopca – wszyscy to mężczyźni i żaden nie wierzy w księżniczki. Wierzą w inne bajki: w stal i Stalina, w komunizm i forsowną industrializację. Są w drodze od wielu dni. Zjeżdżili Śląsk: Gliwice, Łabędy, Pyskowice, Dzierżno, wsie i miasteczka nad Kanałem Gliwickim. Leśnymi drogami przedarli się ku Brzeźcom, Koźlu, Bierawie, Libiszowie i Kuźni Raciborskiej. Byli w Zatorze, Spytkowicach, Skawinie i Borku Szlacheckim. Wszędzie im źle. Za ciasno. Za mało wody. Dlatego teraz w zimnym wietrze stoją na szczycie kopca Wandy i patrzą. Przed nimi ściera się (tak przez najbliższe lata będzie się o tym pisać) zamrażnięte pola.

Tadeusza Gołaszewskiego, kulturoznawcy z Uniwersytetu Jagiellońskiego, samozwańczego dziejopisa Nowej Huty, na pewno nie było wówczas w tej grupie. Ale kiedy sześć lat potem Gołaszewski stworzył swoją *Kronikę Nowej Huty*, będzie się miało wrażenie, że jednak tam był. *Kronika* to dzieło monumentalne. Sama mogłaby być osiągnięciem Sześciolatki. Złocene litery, motto z przemówienia Bieruta (tego o przesiedaniu się na „konia wyższej techniki”), 714 szytych stron pełnych nazwisk, nazw, dat i procent normy, z bardzo kiepskim indeksem.

Oprawne w błękitnoszare płótno najpełniejsze źródło wiedzy o wielkiej budowie, opisujące ją niemal dzień po dniu: od pierwszych planów po pierwszy spust surówki. Wydawnictwo Literackie wydrukowało tylko 3205 egzemplarzy *Kroniki*. Większość dawno wylądowała na śmietnikach i została przemielona w skupach makulatury. Wszystkie, które znam, są pożółkłe, brudzą palce, czuć je wilgocią, stęchlizną, piwnicą. To taki nowohucki Stary Testament, pełen dobrej, socjalistycznej nadziei: na początku nie było właściwie nic, potem nadszedł inżynier Pleszkow.

„Jest coś twardego, mocnego w zdecydowanych ruchach i głosie rozprawiającego tak stanowczo. (...) Młody, z fajeczką w ustach, specjalista radziecki od lokalizacji i planu generalnego hut. Wyobraźnia przestrzenna i stanowcza postawa inżyniera mają zapewne związek z jego służbą frontową w czasie wojny przeciwko hitlerowcom. Ale teraz młody inżynier z równą energią i wolą zwycięstwa mówi o sprawach pokojowych”<sup>4</sup>.

To on wypowiada Słowo: „Tu można by najlepiej rozplanować hutę”.

Może nie widać tego spod śniegu. A może nie chcą tego zobaczyć, może – podobnie jak księżniczka Wanda – nie interesuje ich to. Zamarznięte pola, które ścielą się przed nimi to najlepsza ziemia w kraju, czarnoziem. W Polsce zaledwie 0,4 procent wszystkich gleb można zaliczyć do tej klasy. Tutaj, w okolicach Pleszowa, Mogiły, Krzesławic, Bieńczyc, gleby klasy pierwszej występują najgęściej, jest ich dużo, aż 15 procent ogółu<sup>5</sup>.

Wsie, które na nich leżą, to cały mikrokosmos.

## Mikrokosmos

...piorun uderza w wieżę kościoła w Pleszowie, rozdziela się na sygnaturce i spływa do wnętrza świątyni. Jest 21 czerwca 1929 roku, godzina 19, trwa nabożeństwo. Piorun liże organy, oplata rękojeść czarnej chorągwi, ogłusza Marię Cyganównę, spada wprost na ołtarz Najśłodszego Serca Pana Jezusa. Spływa po złożonych filarach. Na stopniach ołtarza klęczą dzieci, lecz nie wyrządza im żadnej szkody, odpycha je tylko od siebie i przewraca. Omija proboszcza i wsiąka w ziemię, w posadzkę, znika. Płonie drewniana dzwonnica, za jej odbudowę parafia zapłaci 8000 złotych.

...woda ze studni w Bieńczycach nie nadaje się do prania. Jest bardzo smaczna, ale twarda, nie rozpuszcza mydła. Kobiety chodzą więc prać nad rzekę. Rzeka nazywa się Dłubnia, chociaż ludzie mówią też o niej „Gorąca Woda”, bo jej nurt jest wartki. Cierpliwie dłubie swoje koryto w glinie i czarnej ziemi, cierpliwie obraca młyńskimi kołami, napędza folusze, czasem zalewa łąki i niwy. Parobcy poją w niej konie. Pławią. Rzeka nie jest głęboka, więc pławić można tylko tam, gdzie dno obniża się i ucieka spod końskich kopyt. Takie miejsca nazywają się „końskimi dołami”. W innych pławią się także ludzie – wyżej nurtu mężczyźni, niżej z nurtem kobiety. Kobiety kąpią się w koszulach, mężczyźni nago. Czasem chłopcy kładą się na wodzie i cicho, cichuteńko spływają w dół, z nurtem, do miejsca, gdzie kąpią się dziewczęta. Albo wrzucają do rzeki tłuste sadze z komina, które lepią się do białych koszul i białych ciał.

– ...w krótkim czasie i tak cię piorun strzeli w samo serce – mówi do swej żony Maciej Paluch, szewc z Ześlawic. Żona ma na imię Zofia i jest piękna. Pozuje (w stroju krakowskim) Kossakowi, Wodzinowskiemu i Stachiewiczowi. Szewc coraz

więcej pije, więc Zofia wyprowadza się od niego z czwórką dzieci i żąda alimentów. Jest 14 maja 1927 roku. Zofia wchodzi do domu swojego męża i już nigdy z niego nie wychodzi. Jej poćwiartowane szczątki śledczy odnajdą w Dłubni. Maciej Paluch zostaje skazany na „15 lat ciężkiego więzienia, obostrzonego twardego łóżem co miesiąc oraz ciemnicą każdego 15 maja, w rocznicę zbrodni”.

...najpiękniejsze gorsety szyje Maria Chmiel z Pleszowa. Maria jest samotna, na utrzymaniu ma dzieci, mąż zmarł. Córki pomagają jej szyć i haftować, synów posyła do szkół – jeden zostanie prokuratorem, drugi lekarzem. Za gorset Maria bierze sto złotych. Wie, jak haftować, by wprawne oko rozpoznało, skąd pochodzi właścicielka; układ koralu i haftów jest inny w Mogile, inny w Pleszowie, Luboczy, Czyżynach.

...sodaliski „Dzieci Maryi”, oczko w głowie księdza Skarbka, pięknie trzymają się w Pleszowie. „Chłopaki, choćby chcieli, nie mają się z kim po nocach włóczyć” – zapisuje w 1917 roku zadowolony z siebie ksiądz. „W Luboczy np. wszystkie dziewczęta prócz trzech należą do sodalicji, a z tych trzech nie należących dwie miały nieślubne dzieci. Kiedy jedna z nich szukała drużyny na wesele, żadna się tego nie podjęła – twierdząc słusznie, że może tylko uczciwej dziewczynie-koleżance być za drużnę. Owa niedoszła mężatka z ciotecznym bratem pasła psy, dla usunięcia zgorzenia otrzymała dyspensę, lecz jej bogdanek w dzień otrzymania dyspensy położył się do łóżka i umarł na suchoty. Umarł jak prawdziwy pokutnik! Dziwne są sądy Boże!”

...nazywają to miejsce Myszanna. Grzebią tu padłe zwierzęta. Najpierw tylko konie. Potem – psy, koty, nawet świnie. To ładna łąka, z grubą, sztywną trawą, w której lubią wic gniazda polne myszy, bo nawet ugięta, nie sięga gruntu, utrzymując

ciałka świeżo urodzonych, golutkich jeszcze myszek zawieszono nad zimną ziemią. Możliwe zatem, że nazwa łąki pochodzi od myszy. Ale niektórzy mówią, że nie, że dawniej Myszanna nazywała się Mszanna i że to od tych dziwnych, dziewczęcych mszy, które nad grobem swojego ukochanego konia odprawiała tu dziedziczka z Kościelnik. Koń był piękny, biały, z jedwabistą grzywą i złoconymi kopytami, dziedziczka dała go chłopcu, którego kochała, lecz obaj – koń i chłopiec – zabili się. Dziedziczka kazała pochować konia właśnie tu, na łące. Mówią, że przychodziła potem, co rok, na koński grób, z dziewczętami ze dworu, by odprawiać tu dziwne jakies msze i obrządk. Msza, msza i panna...

„Myszanna” – zapisuje Helena Ściborowska-Mierzwina z Kościelnik. Helena zbiera ludowe opowieści: o duchach, strachach, boginkach. Ma dwadzieścia parę lat, ale jest już znaną działaczką ludową. Pisuje do gazet: *O dobre stancje dla chłopskich dzieci, O porządnem myciu, Trudniejsze warunki rozwoju umysłowego kobiet*, walczy o prawa wiejskich kobiet, o ich miejsce w polityce. Zbiera nie tylko opowieści, ale i zioła: kwiat lipy, miętę, rumianek, robi z nich domowe leki. Po wojnie organizuje małopolską sekcję kobiet PSL. Rodzi czwórkę dzieci, jej mąż spędzi lata w stalinowskich więzieniach. Ona będzie osobiście dbała o podupadającego na zdrowiu Wincentego Witosa, później stanie przy jego łożu śmierci. „Ta przez wszystkich za ciemną i gnuśną uważana kobieta wiejska razem z chłopem do walki staje i o prawa dla wsi się upomina i niezgorzej od chłopca to czyni?”, pyta w jednym ze swoich artykułów. I sama sobie odpowiada: „Tak! – owiane duchem miłości dla wsi, bo ona naszych najbliższych jest gniazdem, stajemy o lepszą przyszłość walczyć!...”<sup>6</sup>.



---

Wsie nazywają się Bieńczyce, Branice, Chałupki, Czyżyny, Grębałów, Kantorowice, Krzesławice, Lubocza, Łęg, Mistrzejowice, Mogiła, Pleszów, Ruszcza, Wadów i Zesławice. Mieszka w nich 15 tysięcy ludzi.

– I jak się tam żyło? – zapytał Adam Gryczyński.

– A jak komu? – odpowiedziała pytaniem Maria Zderkowska, córka przedwojennego nauczyciela ludowego z Luboczy.

Adam Gryczyński jest fotografikiem, członkiem ZPAF, kierownikiem działu foto-filmowego Nowohuckiego Centrum Kultury. Na zdjęcia „przednowohuckich” wsi trafił przypadkiem. Propaganda na dekady ugruntowała opinię, że przed Nową Hutą nie było tu przecież nic: trochę błota, kurne chaty, galicyjska bieda i piach.

– A ja zobaczyłem na zdjęciach łany zbóż i procesję idącą polami – opowiada Gryczyński. – Zobaczyłem sztandary, feretrony, kobiety w strojach ludowych, mężczyzn w garniturach... Pięknych ludzi w pięknych ubraniach. Żadnej biedy i słomy.

Poświęcił 13 lat, by na własną rękę i własnymi siłami odkopać to, co peerelowska propaganda starannie zakopała: cały mikrokosmos. Jeździł od wsi do wsi, pukał do drzwi, pytał o fotografie i wspomnienia. Na parapetach i taboretach fotografował stare rodzinne zdjęcia (nie chciał zabierać oryginałów), odcyfrowywał szkolne i kościelne kroniki, pamiętniki, ręczne zapiski. Jego archiwum liczy dziś kilkanaście tysięcy zdjęć. Tylko 20 procent z nich jest opisanych: wiadomo, kto na nich jest, gdzie je wykonano, przy jakiej okazji. Najciekawsze zdjęcia i wspomnienia umieścił w siedmiu tomach albumu *Czas zatrzymany*, gdzie na prawie 2000 stron przywrócił do życia pogrzebane przez Hutę wsie.

Wiele twarzy ze zdjęć zna już na pamięć, po imieniu i nazwisku, rozpoznaje je na innych fotografiach. Nikt nie wie lepiej od Gryczyńskiego, „jak się tam żyło”.

– A jak komu? – odpowiada słowami Marii. – To na pewno nie byli ludzie zacofani, prymitywni, tacy, jak chciała przedstawić ich propaganda. Wielu było dobrze wykształconych, obeznanych z nowoczesną techniką. Pracowali na lotnisku w Czyżynach, w fabryce Zieleniewskiego, w odlewni Klimka. Do Mogiły od wieków ciągnęły przecież pielgrzymki, jej mieszkańcy gościli pątników, mieli nowoczesne, świetnie prosperujące gospodarstwa, ba, mieli samochody! Potrafili też znakomicie się organizować, zrzeszać, działać. W Pleszowie prawie 150 osób należało do przedwojennego PSL-u i do kół „Wici”, w całym powiecie krakowskim nie było drugiej takiej wsi. W Bieńczycach działało Polskie Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół”. W prawie każdej wsi była szkoła. Były ochronki, kursy, działali nauczyciele ludowi, ludzie się zrzeszali, wystawiali *Kościuszkę pod Racławicami* i *Damy i huzary*. W większości stały dwory, niektóre dzierzawione od kurii krakowskiej. Były młyny, folusze. Przy tym była też bieda, wielki kryzys lat 20. dotarł i tutaj. Były dwory, ale były i chaty z klepiskiem. Coś pani pokażę.

Wyjmuje kopię spisu dzieci zobowiązanych do podjęcia obowiązku szkolnego w latach 1871–1872. Obok nazwisk widnieją zająęcia rodziców. Najczęściej powtarza się słowo „zagrodnik”. – Zagrodnik miał zagrodę i dwie–trzy morgi pola – wyjaśnia Gryczyński. – Ale tu mamy „chałupnika”: on miał tylko chałupę i ogródek przy niej. Tu, proszę, „komornik”: nie miał nawet własnej chaty, mieszkał w komorze, przybudówce. Ale jest i „kmięć”, a więc bogaty gospodarz. A teraz zajrzymy dalej, do spisu frekwencji uczniów w styczniu, zobaczymy czemu dzieci nie chodziły zimą do szkoły.

W rubryce „przyczyna nieobecności” zapiski są drobiazgowo. „Ospa”. „Chory na zęby”. A potem: „Buty miał złe”. „Buty u szewca”. „Buty”. „Butów nie ma”...

– To było społeczeństwo zróżnicowane zarówno pod względem statusu, jak i poglądów – mówi Gryczyński. – Ale bez wątpienia ludzie byli przesiąknięci nieklamany patriotyzmem. Potrafili działać, samoorganizować się. Ś wiadomie kultywowali tradycje religijne i narodowe. Stanowili zaporę dla systemu i dlatego system postanowił ich zniszczyć. Skazać na niepamięć.